

90587

# KRYTYKA LEKARSKA

Wychodzi w d. 1 każdego miesiąca.



Rok czwarty.

→ 3 ←

d. 1 Marca 1900 r.



PRENUMERATA WYNOŚI:

w Warszawie: rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2;  
z przesyłką pocztową: rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50.

WARSZAWA.

Druk Władysława Łazarzkiego,  
Daniłowiczowska 6.

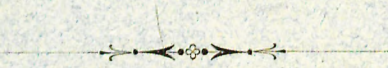
—  
1900.



## TREŚĆ:

---

*A. Witel.* W sprawie sanatoryjów dla niezamożnych chorych nerwowych.—*Julian Steinhau.* Nowotwory, ich przyczyny i klasyfikacya w świetle poglądów współczesnych.—*Dr. Wacław Sterling.* W sprawie pomocy lekarskiej dla biednych w Warszawie.—*Dr. Z. Wasowicz.* Jubileusz 25-letniej działalności prof. d-ra Edwarda Korczyńskiego.—CCENY: *Dr. J. Pesake.* O najnowszym słownictwie anatomicznem naszym (ciąg dalszy).





# KRYTYKA LEKARSKA.

Dr. Ig. Baranowski

## W SPRAWIE SANATORYÓW DLA NIEZAMOŻNYCH CHORYCH NERWOWYCH.

podał A. Wizel.

*Odczytane na posiedzeniu Wydziału higieny szpitali i przytułków Warszawskiego Towarzystwa Hygienicznego.*

Szanowni Panowie!

Na jednym z pierwszych posiedzeń sekcji szpitalnej Warszawskiego Towarzystwa Hygienicznego słyszeliście panowie piękny odczyt dra Dunina o sanatoriach dla suchotników. Idea przewodnia odczytu znalazła sympatyczny oddźwięk w sercach i umysłach szanownych panów, a przedostawszy się następnie na szpalty prasy peryodycznej, żywo poruszyła społeczeństwo i dała pohop do składek na rzecz projektowanej instytucji. Wielkie dzieło zostało szczęśliwie zapoczątkowane i jakkolwiek dalekiem jest jeszcze od urzeczywistnienia, spodziewać się jednak należy, że przy dobrej woli ogółu, zwłaszcza klas zamożniejszych, z biegiem czasu ujrzy ono niewątpliwie światło dzienne.

Powodzenie idei urządzenia sanatorium dla suchotników skłania mnie do zwrócenia dziś uwagi szanownych panów na los innej kategorii nieszczęśliwych istot, na los ludzi, zasługujących w tej samej mierze, co i suchotnicy, na jaknajwyższe współczucie społeczeństwa. Mam na myśli chorych nerwowych.

Organizacja pomocy lekarskiej dla osób nerwowych jest dziś u nas wysoce niedostateczną. Nie mówię o chorych nerwowych, należących do sfery zamożnej, ci bowiem, jeżeli nie w kraju, to zagranicą znajdą dla siebie zawsze odpowiednie uzdrowiska, niosące im skuteczną pomoc w chorobie. Chodzi mi jedynie o tę szarą masę ludzi niezamożnych, lub zupełnie biednych, którzy, w razie choroby nerwowej, są dziś całkowicie, skutkiem braku odpowiednich instytucji, pomocy lekarskiej pozbawieni.

W ostatnich czasach rozpowszechnił się w całym cywilizowanym świecie zwyczaj leczenia cięższych chorych nerwowych w specjalnych zakładach, t. zw. sanatoriach. Zwyczaj to wielce chwalebny. Istnieje cała kategoria chorych nerwowych, którzy w domu, w zwykłych warunkach życia, żadną miarą leczeni być nie mogą. Są to chorzy, do-

Arh 206/53/39



tknięci ciężkimi postaciami rozmaitych nerwic, jak histerya, neurastenia, hypochondrya, oraz owemi licznymi cierpieniami, znajdującemi się na pograniczu pomiędzy neurozą a psychozą. Chorzy ci poprawić się mogą jedynie w zakładzie,—leczenie domowe lub ambulatoryjne nie odnosi u nich żadnego zgoła skutku.

Chorego dotkniętego ciężką nerwicą wszystko wokół razi, męczy, rozstraja, gnębi. Praca go wyczerpuje, obcowanie z ludźmi drażni, najbliższe nawet otoczenie domowe staje się dlań nieznośnem; choremu takiemu najdrobniejsze przykrości życia codziennego sprawiają ból dojmujący, a rozrywki nie tylko nie mają dlań najmniejszego uroku, ale sączą jeszcze gorycz do jego duszy. Chory łaknie ciszy, spokoju, wypoczynku,— a jednocześnie z potrzebą wypoczynku odczuwa potrzebę dobroczynnego wpływu pociechy i perswazyi zaufanego lekarza.

Dla takich chorych stworzono sanatoria. Sanatorium usuwa chorego nerwowego od zwykłych jego zajęć, wyrывa go z otoczenia, częstokroć wysoce denerwującego, oddala od wszelkich wrażeń działających nań szkodliwie, otacza ciepłą i łagodną atmosferą, darzy najtroskliwszą pieczołowitością, zlewa nań obficie balsam pociechy, dodaje mu otuchy, wzmacnia jego wiarę i hartuje wolę, słowem koi go i krzepi duchowo. I oto wśród takich warunków chory zostaje poddany leczeniu fizykalnemu, jak hydroterapia, elektryzacja, masaż, gimnastyka i t. d. Leczenie fizykalne idzie tu w parze z psychicznem w jaknajszerszem znaczeniu tego wyrazu, i dopiero z połączenia tych dwóch metod terapeutycznych otrzymuje się owe znakomite wyniki, które świadczą o niepospolitej mocy leczniczej sanatoryów.

Wartość leczniczą sanatoryów dla chorych nerwowych ocenili dziś doskonale lekarze, ocenila ją i publiczność,—to też w całym cywilizowanym świecie jest dziś mnóstwo tego rodzaju zakładów i ciągle jeszcze co raz to nowe powstają. Dziś my, neuropatologowie, takeśmy się zżyli z ideą sanatorium, takeśmy przywykli do stosowania leczenia zakładowego w przypadkach ciężkiej nerwicy, iż wprost nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie kuracyi poważniejszych nerwic bez pomocy tego potężnego środka terapeutycznego. To też takich chorych, o ile tylko stan ich majątkowy na to pozwala, nader chętnie do sanatoryów posyłamy.

Ale co począć, gdy chory jest niezamożny, gdy ciężką nerwicą, niemożliwą do wyleczenia w zwykłych warunkach życia, dotknięty jest drobny urzędnik, biedny literat, student, nauczycielka, szwaczka, rzemieślnik lub robotnik? Wszak nie tylko do zagranicznego, ale nawet do żadnego krajowego sanatorium wysłać ich nie możemy. Mamy rzucić tych nieszczęśliwych ludzi na pastwę losu i patrzeć obojętnie na ich męki moralne i na ich bezsilną walkę z cierpieniem?



Byłoby to wysoce niehumanitarne i okrutnie niesprawiedliwe. Dziś każdy niemal chory, biedny czy bogaty, jednakowo korzysta z dobrodziejstwa medycyny, każdy identyczną mniej więcej otrzymuje pomoc w razie choroby. Surowicę przeciwbłoniczą zastrzykujemy zarówno dziecku milionera, jak i nędzarza. Dlaczegożbyśmy mieli odmawiać pomocy lekarskiej chorym nerwowym, o ile są oni biedni?

Mógłby kto powiedzieć, że osoby nerwowe niezamożne mają wszak możliwość leczenia się w szpitalach.

Tak się zdaje, w rzeczywistości jednak szpital jest całkiem nieodpowiednią dla nich instytucją leczniczą—dla tej kategorii chorych jest on raczej szkodliwym, niż pomocnym.

Chorzy ci, jakżeśmy rzekli, potrzebują przede wszystkim atmosfery kojącej duchowo, a tego szpital żadną miarą dać im nie jest w stanie. W szpitalu zazwyczaj szukają ratunku chorzy, dotknięci najcięższymi chorobami ciała—zład atmosfera szpitalna przepełniona jest stałe bólem i jękiem. Tu pluje krwią podobny do mary suchotnik, tam dusi się obrzękły chory na serce, w innym miejscu znów dogorywa wyniszczony przez raka męczennik. Czy chory na nerwicę może się czuć dobrze w podobnym otoczeniu? Zaiste, nie. Nastroj smętny, w jakim przybył do szpitala, jeszcze grubszą okrywa go żalobą, a na widok dramatów szpitalnych obawy jego hypochondryczne staną się stokroć większe. Powinien on zapomnieć o klęskach ludzkiego życia, widzieć dokoła siebie jasność i pogodę, mieć niczem niezamącony spokój, kąpać się w atmosferze serdecznego ciepła i czerpać ze wszystkiego wiarę i nadzieję. Czy szpital dać mu to może? Tam, gdzie się rozlegają jęki cierpiących i złowrogie chrapanie konających, gdzie wśród ciżby złożonych niemocą istot snuje się niewidzialnie anioł śmierci, tam chora dusza nie znajdzie ukojenia. Jej potrzeba ciepła i słońca, wiary i nadziei, a tu tymczasem, w tych posępnych murach, zewsząd rozlegają się jęki i ze wszystkich zakątków wyziera widmo śmierci.

Ale nie tylko ta okoliczność czyni szpital miejscem nieodpowiedniem dla chorych nerwowych.

Chorzy ci wymagają ogromnej pieczołowitości i nieustannej opieki lekarskiej. Niedosć zapisać im lekarstwo lub zalecić elektryzację. Trzeba z nimi nieustannie obcować, ciągle na nich oddziaływać, bawić się, i gawędzić z nimi razem niemal czuć i myśleć. Tego rodzaju opieki lekarskiej tryb życia szpitalnego nie zna wcale. Lekarz szpitalny odwiedza chorych raz na dzień, bada ich i zapisuje kurację, poczem odchodzi i wraca nazajutrz, aby znów badać chorego i znowu kurację mu zapisać. Pozostałą część dnia chorzy pozostawieni są sami sobie lub mało kompetentnej służbie. Tego rodzaju postępowanie może być właściwe w stosunku do chorych wewnętrznych, chirurgicznych i t. p., u których poprawa osiąga się za pomocą pewnych leków lub pewnych



rękoczynów, nigdy jednak nie powinno mieć miejsca w stosunku do chorych nerwowych. Tu wszak najważniejszym czynnikiem leczniczym jest wpływ moralny lekarza, wpływ odczuwany przez chorych od świtu do nocy.

W końcu zwrócę uwagę na tę jeszcze okoliczność, że, o ile dla szpitali położenie za miastem, w miejscowości zacisznej, byłoby pożądanem, o tyle dla sanatoryjów nerwowych jest ono niezbędne. Chorzy nerwowi wymagają ciszy, zgiełk życia miejskiego nie powinien razić ich uszu, wszystko naokoło winno tchnąć spokojem. Cel ten osiągnąć się daje jedynie przez urządzenie specjalnych sanatoryjów w jakimś wiejskiem lub leśnem ustroniu.

Ze wszystkiego, com rzekł, wypada, że szpital jest zupełnie niewłaściwą instytucją dla chorych, dotkniętych ciężką nerwicą, i że ci chorzy, z braku tanich uzdrowisk, są dziś niemal zupełnie pozbawieni pomocy lekarskiej. Brak zakładów leczniczych dla chorych nerwowych, pochodzących ze sfery niezamożnej, czyni ich los w najwyższym stopniu tragicznym.

Wyobraźmy sobie rzeczywiście biednego oficjalistę lub urzędnika, obciążonego rodziną, a niezdolnego do pracy wskutek ciężkiej neurastenii. Wyobraźmy sobie biedną szwaczkę lub nauczycielkę, która z powodu ciężkiej histeryi nie jest w stanie nie tylko pracować, ale nawet dziećmi swemi się zająć. Życie tych ludzi jest jednym pasmem niewysłowionych cierpień i udręczeń moralnych. W bezsilnej walce z chorobą żebrzą dokoła pomocy lekarskiej, rozdzierającymi słowy błagają nas o litość; obchodzą po kolei wszystkie lecznice i wszystkie ambulatorya, zanosząc wszędzie modły i ze łzami w oczach prosząc o najdrobniejszą choćby ulgę—a my stoimy wobec nich bezsilni i bezradni i niczem a niczem pomódz im nie możemy. Dajemy im wprawdzie lekarstwa, pocieszamy, jak możemy, usiłujemy wlać w nich odrobinę wiary, czynimy to jednak z tem głębokiem w duszy przeświadczeniem, że pomoc nasza na nic się im nie przyda. Im potrzeba odpoczynku, spokoju, odosobnienia, ciągłej opieki, systematycznej kuracyi, słowem, potrzeba im sanatorium, a tego dać im nie jesteśmy w stanie.

I odchodzą od nas te szeregi męczenników, z rozpaczą w sercu, a nieraz i klątwą na ustach, by wieść dalej we łzach swój żywot pokutniczy; i wiodą go nieraz tak długo, póki jedna chwila gwałtowniejszej rozpaczki nie podszeptnie im złowrogiej myśli, lub póki na umyśle ich nie padnie mrok, ów mrok fatalny, na który jedynym ratunkiem jest szpital obłąkanych.

Wielka krzywda, jaka się dzieje osobom niezamożnym, cierpiącym na neurozę, stała się w ostatnich latach w Niemczech i Austrii pobudką do bardzo gorących rozpraw i bardzo ożywionej agitacyi.



Pierwszym, który jeszcze w roku 1891 r. podniósł ideę sanatoryjów dla niezamożnych chorych nerwowych, był dr. Benda. W parę lat później tę samą myśl poruszyli i inni neuropatologowie, jak Krafft-Ebing, Ludwig, Eulenburg; odezwy ich wszakże, trzymane w tonie niezbyt energicznym, nie odniosły należytego skutku. Dopiero w r. 1896 znakomity uczony, Moebius, uderzył silnie na alarm i głos jego wywołał ogromne wrażenie w całym świecie lekarskim. Erb, Forel, Kraepelin, Strümpell, Jolly i wielu innych neuropatologów i psychiatrów jednomyślnie uznało palącą potrzebę sanatoryjów dla niezamożnych chorych nerwowych. Kwestya ta stała się jednocześnie przedmiotem gorących rozpraw na zjazdach neurologów, gdzie również oświadczone się za koniecznością tych zakładów. Dzięki tym wszystkim odezwom, odczytom i rozprawom lat ostatnich, sanatoria dla niezamożnych chorych nerwowych zostały zaliczone przez wszystkich neuropatologów do rzędu najważniejszych potrzeb społeczno-lekarskich i *pod względem swej ważności postawione zupełnie narówni z sanatorjami dla suchotników.* — W obecnej chwili rozprawy teoretyczne nad kwestyą sanatoryjów dla chorych nerwowych można już uważać w Niemczech za zamknięte, cała zaś działalność lekarzy tamtejszych została dziś skierowaną do praktycznego urzeczywistnienia idei.

Oczywiście urzeczywistnienie idei sanatoryjów nie jest łatwym. Trzeba na to znacznych funduszków, a tych brak zawsze, ilekroć chodzi o zakłady dobroczynne. Czy jednak powinno nas to zrażać i energię naszą paraliżować? „Świadomość potrzeby, powiada dr Peretti w odczycie, jaki wygłosił w r. b. na zjeździe psychiatrów prowincyi Reńskiej, wkłada na nas lekarzy obowiązek szukania środków zaradczych, i skoro tylko mamy przeświadczenie, że dla zwalczenia pewnej kategorii chorób nerwowych potrzebne są specjalne uzdrowiska, winniśmy ze wszystkich sił dążyć do wprowadzenia ich w życie. Naszem zadaniem jest pouczać ogół o wielkiem rozpowszechnieniu chorób nerwowych, o niedostateczności obecnej pomocy lekarskiej dla niezamożnych chorych nerwowych i o stracie, jaką ponosi społeczeństwo z powodu bezczynności wielu sił roboczych. Niech tylko publiczność zrozumie znaczenie bronionej przez nas idei, a wnet będziemy mieli utorowaną drogę do serc dobroczynnych“. A więc przedewszystkiem, zdaniem dr Peretti'ego, należy kołatać do ofiarności publicznej.

(Dok. n.)



# NOWOTWORY,

*ich przyczyny i klasyfikacya w świetle poglądów współczesnych.*

S Z K I C .

Podał Julian Steinhaus.

## II.

Pierwsza próba poważniejszego, naukowego objaśnienia powstawania nowotworów odnosi się do szóstego dziesiątka dobiegającego obecnie do końca stulecia. *Thiersch* w głośnym swem dziele „o raku nabłonkowym“, wykazując na podstawie ścisłej obserwacji histologicznej dziś już przez wszystkich uznane nabłonkowe pochodzenie mięszu raka, jednocześnie próbował objaśnić przyczynę rakowego rozrostu nabłonka. Wyszedł on z tego założenia, że wzmożone bujanie nabłonka samo przez się nigdy do wytworzenia raka doprowadzić nie może, że muszą istnieć poprzednio pewne zmiany w podścielisku łącznotkankowym, dzięki którym normalny opór, stawiany przez tkankę łączną wrastaniu nabłonka, zniknie lub przynajmniej znacznie się zmniejszy, a wtedy dopiero nabłonek bujający bez przeszkód wrośnie w podścielisko. Taka zmiana, takie „osłabienie“ tkanki łącznej, to cecha charakterystyczna starszego wieku. Przyczyną powstawania raka jest więc — według *Thierscha* — osłabienie lub usunięcie oporu, stawianego nieograniczonemu bujaniu nabłonka przez tkankę łączną. Z faktami wszakże teorya ta pogodzić się nie daje. Z jednej strony tylko niewielka liczba starców choruje na raka, choć zmiany starcze tkanki łącznej występują u wielu bardzo wybitnie, z drugiej zaś strony młode i zdrowe osobniki cierpią także na raka. Rak w młodym wieku jest cierpieniem nawet o wiele groźniejszym, niż w starszym: rośnie szybciej, daje liczniejsze przerzuty i odradza się prawie zawsze po operacyi; zaś u starców, jak wiadomo, rośnie on bardzo wolno i liczniejsze przerzuty należą u nich do rzadkości. Gdyby wreszcie przyczyna raka leżała istotnie w starczych zmianach tkanki łącznej narządów, wtedy rak (oczywiście mowa tu wyłącznie o raku pierwotnym) byłby cierpieniem ogólnem, albo przynajmniej wieloogniskowem, podczas gdy w istocie jest on prawie zawsze jednoogniskowy

Wobec tego teorya *Thierscha*, choć przez prostotę swoją robiła wrażenie prawdy i pomimo, że późniejsze uogólnienia *Roux* „o walce części w ustroju“ popierać ją się zdawały, ostać się nie mogła.

Ogólniejszą była teorya *Cohnheima*, miała ona wytłómaczyć powstawanie wszystkich wogóle nowotworów.



*Cohnheim* za punkt wyjścia wziął fakt, że niektóre nowotwory zawdzięczają swoje istnienie nieprawidłowościom rozwoju zarodkowego, niezużytkowaniu we właściwym czasie i miejscu cząstek tkanki zarodkowej, która, rozrastając się później w warunkach już innych, niezwykle, daje początek rozrostom nieprawidłowym—nowotworom. Uogólniając ten fakt, wyraził on pogląd, że wszystkie nowotwory wogóle zawdzięczają swoje istnienie takim niezużytkowanym podczas rozwoju zarodkowego tkankom zarodka, choć wiedział o tem i nie tał, że wykazać tego histologicznie nie można prawie nigdy. Najważniejszym argumentem na poparcie hipotezy powyższej była okoliczność, że nowotwory szczególnie często rozwijają się w tych miejscach, gdzie w życiu zarodkowym odbywają się procesy rozwojowe bardzo złożone, gdzie naprzykład się schodzą rozmaite twory nabłonkowe (warga, żołądek, odbył, macica i t. d.). Komórki lub grupy komórek, niezużyte przy tych złożonych procesach rozwojowych, pozostają na tym szczeblu rozwoju, czy zróżniczkowania, na jakim wykluczone zostały z ogólnego rozwoju zarodka, i odznaczać się będą olbrzymią zdolnością bujania, jaka cechuje tkanki zarodkowe, a zarazem i nowotworowe.

Z początku entuzjastycznie przyjęta, hipoteza *Cohnheima* straciła wkrótce bardzo wielu zwolenników.

Uderza w niej przede wszystkim ta okoliczność, że stworzona dla objaśnienia przyczyny powstawania nowotworów, właściwie wcale tej przyczyny nie tłumaczyła.

Komórki, z których rozwijają się nowotwory, dla tego bujają tak obficie, że są potomstwem mało zróżniczkowanych komórek zarodkowych, które, właśnie wskutek małego zróżniczkowania, posiadają w wysokim stopniu zdolność bujania. Przypuśćmy, że tak jest istotnie, ale dlaczego te komórki często przez rok, dwa, dziesięć, a nawet pięćdziesiąt i więcej lat zachowują się spokojnie, nie bujają, aż nagle wybuchnie ich niepohamowana dążność do bujania – powstaje nowotwór. Co pobudza je nagle do bujania? To jest zasadnicze etyologiczne pytanie, na które *Cohnheim* nie odpowiedział. Jego teoria jest tylko teorią genetyczną, nie etyologiczną, tłumaczy ona pewne właściwości komórek nowotworowych, lecz dla objaśnienia przyczyny bujania nowotworowego uciec się musiał jej twórca do wielokrotnie już dawniej wygłaszanego poglądu, że bodźce zewnętrzne pobudzają komórki do bujania; resztę zaś czynią swoiste własności komórek embryonalnych.

Co się zaś tyczy „embryonalności“ komórek, z których powstają nowotwory, to ona niczem dotychczas udowodnioną nie została—o ile oczywiście nie chodzi o nowotwory, rozwijające się już w ciągu życia zarodkowego. *Roux* widział wprawdzie podczas rozwoju zarodkowego żaby, że pewna część kul przewężnych pozostaje niezużytkowaną przy tworzeniu się tkanek i leży pośród zróżniczkowanych już komórek roz-



wijającego się ustroju. To spostrzeżenie przytaczają na dowód słuszności przypuszczeń *Cohnheima*. Lecz nie wiemy, czy te komórki istnieją jeszcze w ustroju, kiedy rozwój zarodkowy jest ukończony; również nie wiadomo, czy takie nieużytkowywanie komórek zdarza się i u wyższych kręgowców. A gdyby nawet tak było, to wiadomo, czy z takich komórek później w ciągu życia istotnie powstają nowotwory. Że u żaby — u której jedynie dotychczas zdołano dostrzedz owe komórki nieużytkowane podczas rozwoju zarodka — nie powstają z tych komórek nowotwory, to możemy twierdzić z pewnością, gdyż u niższych kręgowców nieznane są nowotwory wogóle.

Nie wydaje nam się wcale nieprawdopodobnym, że komórki zarodkowe mogą dawać początek nowotworom; przeciwnie, wiemy dobrze, że istnieje niemało nowotworów „wrodzonych“, t. j. nabytych w ciągu życia wewnątrzmacicznego, nie widzimy jednak dostatecznych powodów do przypuszczenia z *Cohnheimem*, że wyłącznie tylko komórki zarodkowe mogą dać początek bujaniu nowotworowemu.

Nowsza, etyologiczno-genetyczna teoria *Ribberta*, również obejmująca wszystkie nowotwory wogóle, przedstawia się w zarysie, jak następuje.

Rozwój narządów w zarodku odbywa się przez różniczkowanie się komórek według dziedzicznie przenoszonych modły. Różniczkowanie to tylko wtedy może się odbywać prawidłowo, gdy komórki od samego początku tworzenia się narządu zespolone są ściśle w jedną całość; Jeśli jedna lub kilka komórek oddzieli się od całości, służącej dla rozwoju danego narządu, i jeżeli przytem nie ucierpi ich odżywianie, to komórki te żyć nie przestaną i bujać będą dalej, lecz produkt ich bujania nie będzie już prawidłowy, typowo zakończony. Narząd rośnie w ustroju tylko dopóty, póki wszystkie jego części składowe nie znajdują się w takim stanie wzajemnego napięcia, jaki na podstawie praw dziedziczności jest dla nich wyznaczony. Tkanki zaś, powstające z oddzielonych od całości komórek, zachowują się pod tym względem inaczej. Jeżeli przynajmniej w ogólnych zarysach zbliżyć się one będą w swojej budowie do normalnego narządu, to przyjdzie prędzej lub później chwila, kiedy wzajemne napięcie elementów komórkowych wstrzyma dalsze ich bujanie i rozrost zostanie zakończony. Im bardziej jednak wynik rozrostu oddzielonych komórek oddala się od normalnego typu narządu, tem słabiej przejawia się hamujący bujanie wpływ owego „wzajemnego napięcia“, tem dłużej trwać będzie rozrost.

Nie charakter embryonalny komórek, na który taki nacisk kładł *Cohnheim*, stanowi o powstawaniu nowotworów, lecz oddzielenie ich od organicznej całości. Takie oddzielenie, uwalniające komórki z pęt „wzajemnego napięcia“, wystarcza do rozpoczęcia samodzielnego bujania, którego skutkiem będzie albo rozrost, mniej lub bardziej dokła-



dnie naśladowujący budowę narządu macierzystego, albo nowotwór, do tego narządu zupełnie niepodobny. To samo, co miewa miejsce przy rozwoju narządów, może się zdarzać również i w zupełnie rozwiniętych narządach: rozmaite bodźce patologiczne mogą doprowadzać do oddzielania się grup komórek od organicznej całości, a co zatem idzie, do rozwoju nowotworów. Skutkiem nieprawidłowości w życiu zarodkowym rozwijają się torbiele skórzaste i cholesteatomaty, gruczolaki, chrzęstniaki, kostniaki, tłuszczaki, mięśniaki, naczyniaki i mięsaki, zarówno barwnikowe, jak i bezbarwne. Mnogość nowotworów, których powstawanie może być objaśnione nieprawidłowościami rozwoju zarodkowego, jest łatwo zrozumiała, jeśli zważymy, że właśnie w życiu zarodkowym, wskutek wielkiej złożoności procesów rozwojowych, najczęściej zdarza się sposobność do wspomnianych wyżej odłączeń grup komórkowych od organicznej całości.

W życiu pozarodkowym długotrwałe procesy zapalne, urazy i t. p., również stanowią momenty, umożliwiające tego rodzaju odłączenia. Na pytanie, czy komórki dojrzałego ustroju posiadają jeszcze dostateczną energię bujania, by w razie oddzielenia się grup komórkowych mogły z nich powstać nowotwory, należy, zdaniem *Ribberta*, odpowiedzieć twierdząco. Przerost zastępczy, a przede wszystkim odradzanie się tkanek, zniszczonych przez nekrozę lub usuniętych w sposób mechaniczny, możliwe są wtedy tylko, kiedy komórki ustroju posiadają jeszcze znaczny zasób energii, wysoką zdolność bujania. Więć oddzielanie się komórek od związku organicznego z całością narządu może i w dojrzałym ustroju pociągnąć za sobą bujanie nowotworowe. Już dawno *Virchow* wykazał, że podczas nieprawidłowego kostnienia u rachitycznych oddzielają się wysepki chrząstki od reszty kostniejącej chrząstki i stanowią punkt wyjścia dla chrzęstniaków. To samo dotyczy kostniaków. Rozwój mięsaków po złamaniach kości zależy może od tego, że grupy komórek okostnej lub szpiku oddzielają się od reszty i bujają samodzielnie. Za rozwojem nowotworów nabłonkowych według wskazanego typu przemawia możliwość doświadczalnego wywoływania tworów, zbliżonych do torbieli skórzastych, powstawania torbieli tęczówki z oddzielonych i przemieszczonych komórek nabłonka rogówki i t. d. Badania nad histogenezą raka, przeprowadzone przez *Ribberta*, również przemawiają, zdaniem jego, za powstawaniem tych nowotworów z komórek nabłonkowych, oddzielonych od reszty nabłonka przez bujającą wskutek innych bodźców patologicznych tkankę łączną podnabłonkową.

Zatem nowotwory powstają zarówno w życiu zarodkowym, jak i później, wskutek częściowego lub całkowitego wyzwolenia się pojedynczych komórek lub całych grup komórkowych z organicznej łączności z resztą komórek narządu. Odłączone komórki, o ile są wogóle



jeszcze zdolne do bujania i dostały się do środowiska, zapewniającego im możliwość prawidłowego odżywiania, żyją dalej samodzielnie, rosną i tworzą nowotwory, mniej lub bardziej podobne do narządów, z których pochodzą, albo też zupełnie różne od nich, zależnie od wielkości i organizacji odłączonej wysepki tkankowej.

Zasadnicze znaczenie dla teorii *Ribberta* ma twierdzenie jego, że w komórkach, odłączonych od organicznej całości, funkcya bujania, przytłumiona albo nawet zupełnie zniesiona przez wzajemne napięcie tkanek narządu, wybucha na nowo z całą potęgą. Słuszność tego twierdzenia nie została przez niego udowodniona.

Jest rzeczą niewątpliwą, że uwolnienie komórek z łączności organicznej z resztą narządu ułatwia przejawianie się tych czynności komórek, które są hamowane przez połączenie z innymi komórkami. Ale czy funkcya bujania jest hamowana w komórkach przez połączenie ich w organiczną całość, tego jeszcze dowieść należy. A zresztą, gdyby nawet tak było, to teoria *Ribberta* nicby na tem jeszcze nie zyskała. Według *Ribberta*, odłączone komórki dają tylko początek nowotworowi, kiedy znajdują, po odłączeniu od tkanki macierzystej, odpowiednie warunki dla dalszego istnienia, czyli, kiedy wchodzą w stosunki wzajemne z nowem otoczeniem (odżywianie), wchodzą w skład nowej organicznej całości. Nowe otoczenie, tak samo, jak przedtem macierzyste, będzie hamowało ich dążność do bujania. Doświadczenia na zwierzętach z implantacją do jamy brzusznej i do organów mięszo-wych kawałków tkanki z różnych narządów, dokonane przez *Ribberta*, a później przez *Lubarscha* sprawdzane, dowiodły wprawdzie, że implantowane tkanki żyją niekiedy jeszcze dość długo, nawet czasami daje się w nich zauważyć bujanie komórek, ale ostatecznie cały implantowany kawałek narządu podlega obumarciu i zostaje wessany. Ze szczegółów tych doświadczeń, zwłaszcza tych, które przeprowadził *Lubarsch*, wynika jednocześnie, że objawy bujania komórek w implantowanych częściach tem wyraźniej występują, im znaczniejsza część wszczepionych tkanek podlega nekrozie zaraz po implantacji. Z tego wnosić należy, że pobudza do bujania nie oddzielenie tkanek i przeniesienie ich na nowy grunt, lecz nekroza — bujanie ma tu więc znaczenie jedynie wysiłku w kierunku regeneracji.

Zasadnicza więc teza *Ribberta*: wzmóżone bujanie jest skutkiem odłączenia i przemieszczenia komórek, nie została udowodniona. Nie wyklucza to wszakże możliwości i odłączeń, i bujania energicznego odłączonych komórek. Jest nawet prawdopodobnem bardzo, że w ten sposób powstają niektóre gruczolaki, np. nerki i wątroby, wiele papilomatów i t. d. — jednym słowem takie nowotwory, które stoją na granicy pomiędzy przerostem zwyczajnym, a nowotworami prawdziwymi. Twory te zazwyczaj, dorosłszy do pewnej, wogóle niezbyt znacznej



wielkości, przestają rosnać i podlegają przemianom wstecznym, tak samo, jak wszczepione cząstki narządów. Ale ztąd nie można jeszcze wnosić, że wszystkie nowotwory tylko na tej drodze powstają. Odłączanie i przemieszczanie nabłonka na skórze i błonach śluzowych jest przy wielu sprawach zapalnych zjawiskiem powszednim, ale tylko wyjątkowo zdarza się, że właśnie w takim miejscu powstaje nowotwór rakowy. Z drugiej zaś strony liczne badania nad histogenezą nowotworów przemawiają za tem, że rozwijać się one mogą również i przez bujanie nieodłączonych komórek.

Teorya więc *Ribberta*, nie pozbawiona znaczenia dla kwestyi genezy nowotworów, dostatecznie nawet objaśniająca powstawanie pewnej ich liczby, nie rozwiązuje, tak samo, jak i teorya *Cohnheima*, zagadki etyologii nowotworów. Nawet w tych przypadkach, kiedy oddzielenie i przemieszczenie komórek stanowi istotnie punkt wyjścia dla rozrostu nowotworowego, nie można sobie wyobrazić rozwoju nowotworu bez przypuszczenia jakiegoś jeszcze bodźca, który by pobudził owe komórki do nieprawidłowego bujania.

Z innej nieco strony usiłuje *Hanseman* zbliżyć się do wyjaśnienia genezy nowotworów, szczególnie złośliwych.

Uznając w całej rozciągłości zasadę specyficzności komórek, wykluczając metaplazję (np. przekształcenie się komórki łącznotkankowej w nabłonkową), przypuszcza jednak *Hanseman* możliwość histologicznego przystosowywania się, t. j. morfologicznych przekształceń komórek—zależnie od warunków bytu.

Jednym z takich przejawów histologicznego przystosowywania jest „anaplazya“ komórek. Komórki ustroju są mniej lub bardziej zróżniczkowane i w miarę zróżniczkowania słabnie ich zdolność do samodzielnego życia. Jeśli jakaś komórka cofnie się o pewną ilość szczebli na drabinie zróżniczkowania, jeżeli tem samem stanie się zdolniejszą do życia samodzielnego i jej „altruizm“, t. j. zależność od innych komórek ustroju osłabnie, to komórka taka podległa anaplazji. Komórki nowotworowe są w ten właśnie sposób zmienionemi komórkami ustroju, są komórkami anaplastycznymi, różnią się morfologicznie od normalnych, bujają energiczniej, wiodą życie samodzielniejsze, mniej podlegają ograniczeniom, zależnym od „altruizmu“. Im silniejsza jest anaplazya komórek, tem większą jest różnica pomiędzy tkanką normalną a nowotworową; najwyższy stopień anaplazji widzimy w komórkach niektórych nowotworów złośliwych, najniższy, niekiedy nawet nieuchwytny dla naszych metod, w nowotworach łagodnych. Różne bodźce mogą wywołać anaplazję, zaś zjawienie się jej pociąga za sobą rozrost nietypowy, rozwój nowotworu. Wątpić o istnieniu anaplazji nie można; ale nie widzę z drugiej strony konieczności przypuszczenia, że istnieje ona tam, gdzie żadnemi metodami nie udaje się jej wykazać.



Tam, gdzie ją wykazać można, zjawia się nowa kwestya, czy jest ona pierwotną, czy wtórną, czy wywołuje rozrost nowotworowy, jest jego przyczyną, czy też występuje w jego przebiegu, jako wyraz widomy autonomii nowotworów? Z dotychczasowych badań nie można wysnuć odpowiedzi na te pytania.

Tak przedstawiają się nowsze próby objaśnienia genezy nowotworów na podstawie badań histogenetycznych i rozumowań, opartych na wynikach tych badań. Nie zadowolniły one, a przez ten czas bakteriologia i parazytologia wogóle wyjaśniła zagadkę pochodzenia całego szeregu różnych cierpień. Nic więc dziwnego, że ku parazytologii zwrócono się też w nadziei, że ona rozwiąże również i zagadkę etyologii nowotworów wogóle, a specjalnie najstraszniejszego ze wszystkich — raka.

Przed kilku laty w „Przeglądzie chirurgicznym“, a potem, jako referent, na zjeździe higienicznym w Peszcie, zdawałem już sprawę z wyników badań nad pasorzytniczem pochodzeniem nowotworów, a specjalnie raka. Wnioski, wtedy wysnute, nie zostały wcale zmienione przez poszukiwania z ostatnich kilku lat. Przeszliśmy już okres bakteryi, kokcydyi, drożdzy, a ostatnio nawet śluzowców (myxomycetes). Za każdym razem trzeźwa krytyka rozwiewała złudzenia — dotychczas nie znaleziono pasorzytów, wywołujących nowotwory. Trudno było zresztą spodziewać się innego wyniku; rozwój nowotworów, sposób tworzenia się przerzutów, nawet udatne przeszczepianie nowotworów — wszystko to przemawia raczej przeciw pasorzytniczej przyczynie, niżeli na jej korzyść.

Jak dotychczas więc, wszelkie próby rozwiązania zagadki etyologii nowotworów spełzły na niczem, — przyczyny ich nie odkryliśmy. Może mylnie szukaliśmy jednej przyczyny, wspólnej dla wszystkich, zamiast oglądać się za odrębnymi przyczynami różnych nowotworów. Przy takim postawieniu kwestyi może sprawa inny w przyszłości weźmie obrót. Zboczenia rozwoju zarodkowego są niewątpliwie czasami jedną z przyczyn powstawania nowotworów (dermoidy, teratoidy i wiele innych nowotworów wrodzonych). Uraz i wogóle wpływy mechaniczne mogą również pobudzić tkanki do nietypowego rozrostu. Jako przykład ujemny przytoczę tu raka moszny kominiarzy, który znikł obecnie, kiedy kominiarze, zamiast schodzić do kominów, posyłają tam kule i miotły. Dodatnim przykładem niechaj będzie rak pęcherzyka żółciowego. U kobiet, dzięki gorsetom, kamienie żółciowe są niezmiernie częste. Rak pierwotny pęcherzyka żółciowego znajduje się u kobiet 85 razy na 100 przypadków pierwotnego raka tego narządu wogóle, i prawie we wszystkich przypadkach znaleźć można kamienie w pęcherzyku żółciowym. Że kamienie żółciowe nie są tu skutkiem, lecz raczej przyczyną zwyrodnienia rakowego ściany, tego dowodzi okoliczność,



że przy raku wtórnym pęcherzyka żółciowego tylko 15 razy na 100 znaleźć można kamienie.

Mnożyć analogiczne przykłady można by jeszcze długo i uwydatniać w ten sposób wszystkie momenty, które mogą mieć znaczenie etyologiczne. Ponieważ jednak nie mamy pewników, lecz tylko wskazówki, dowodzące że przyczyny nowotworów mogą być bardzo rozmaite, ograniczymy się na tych kilku przykładach.

*D. n.*

## W SPRAWIE POMOCY LEKARSKIEJ

dla biednych w Warszawie.

*Podał Dr. Wacław Sterling.*

„Honora medicum propter necessitatem.“  
(*Eccles. XXXVIII*).

Sprawa bezpłatnej pomocy lekarskiej, bardzo ściśle wskutek rozmaitych okoliczności związana ze sprawą warunków materialnych stanu lekarskiego, musi być bolączką bardzo rozjątrzoną, skoro tyle się o niej w ostatnich czasach mówi i pisze. Na ogół nasz stan lekarski życie swoje zawodowe nazewnątrz objawia pod jedną tylko postacią — pod postacią literatury naukowej, i podczas gdy zagranicą wychodzą dzieła i specjalne czasopisma, prawie wyłącznie zawodowi lekarzskiemu, jako zawodowi, poświęcone, obronę interesów za cel mające, u nas pojedyncze artykuły w tej sprawie za wyjątki niemal uważać można. Lecz życie rozwija się swoją drogą, powoli warunki i u nas tak się ukształtowały, że nadmiar lekarzy warszawskich z jednej strony, a nie poddawana żadnej absolutnie kontroli bezpłatnie zasięgana pomoc lekarska z drugiej, musiały wytworzyć stosunki trudne i niezdrowe — i oto, jako zwiastuny tego przesilenia, zaczęły się pojawiać artykuły wyłącznie obronie interesów lekarskich poświęcone, jak naprz. prace kolegi K. Wisłockiego. Nie wdając się w szczegółowe rozpatrywanie artykułów tych, musimy zauważyć, że przewodnią myślą ich jest fakt, że lekarze powinni być wynagradzani za swoją pracę przez społeczeństwo, jak członkowie każdego innego zawodu, i że dotychczas społeczeństwo zamało się z tem rachowało. Każdy wszakże zgodzi się z Simon'em, który powiada: „S'il est une profession, dont les bénéfiques, à entendre cette expression dans le sens le plus large de la signification, soient en désharmonie avec les sacrifices de toutes sortes qu'elle impose, c'est sans contredit la profession médicale“.



2

Czasami, w razach prawie wyjątkowych, wdzięczność, w obszer-  
nem tego wyrazu znaczeniu, spotyka pewnych lekarzy; jest ona udziałem  
tych, którzy, jako lekarze domowi, znają rodziców i dzieci, leczą  
nieraz trzy pokolenia, są powiernikami najskrytszych tajemnic. Lecz  
tego rodzaju stosunki panować mogą jedynie w rodzinach względnie  
zamożnych, w domach, w których lekarz jest potrzebą, a nie zbytkiem.  
W olbrzymiej jednak większości przypadków dzieje się zupełnie inaczej.  
Lekarz wzywany bywa wtedy tylko, gdy już ostateczność chorego do  
tego zmusza, tem samem więc odwiedza i widuje chorego rzadko; rzecz  
prosta, że na jedyną wdzięczność może on wtedy rachować, na wdzięcz-  
ność materyjalną, na t. zw. honorarium.

Przedewszystkiem zadajmy sobie pytanie: skąd pochodzi wyraz  
„honorarium“? Za czasów rzymskich *honoraria summa* \*) była to kwota,  
którą urzędnik miejski obowiązany był zapłacić za zaszczyt, jaki mu  
czyniono, dając pewien urząd. Różnica pomiędzy urzędnikami ówczes-  
nymi i urzędnikami naszych czasów dobitnie jest zaznaczona w wyrażeniu  
*honoraria*, w tem znaczeniu, jakie miał on wówczas i jakie ma u nas,  
dla odznaczenia wynagrodzenia lekarskiego. Pierwiastek *honoris* zaznacza  
tu, że wynagrodzenie lekarskie daje się dobrowolnie, za pracę, która  
nie daje się określić pewną sumą pieniężną. Prawo rzymskie zupełnie  
jasno oznaczyło ten swoisty charakter honoraryów, tak, że lekarze,  
adwokaci, profesorowie i ci wszyscy, którzy oddawali się jakiemuś za-  
wodowi, uznawanemu za honorowy, nie byli zależni od nikogo, powo-  
dując się jedynie swem sumieniem, swojemi przekonaniem naukowemi  
i zasadami moralnemi. Otóż wynagrodzenie za tego rodzaju pomoc  
rozumieć winniśmy pod mianem honorarium.

Pierwszy okres medycyny, jako sztuki lekarskiej i jako zawodu  
lekarskiego, kryje się, rzecz prosta, w pomrokach dziejów. Wiemy o nim  
tyle za ledwie, że wykonywanie obowiązków lekarza ściśle związane  
było z obowiązkami kapłana, medycyna była teurgiczną. Z czasem jed-  
nak traci ona zupełnie charakter hieratyczny, stając się sztuką świec-  
ką, niezależną i jednocześnie dającą zarobek. Według Diodora Sycy-  
lijczyka, w starożytnym Egipcie lekarze płatni byli przez rząd, nie po-  
bierając żadnego wynagrodzenia od pacjentów, żyli jednak w zupeł-  
nym dostatku. Egipcyanie słusznie mniemali, powiada Gassicourt, że  
sztuka tak szlachetna i tak ważna, jak medycyna, nie powinna nigdy  
wystawiać tych, którzy ją uprawiają, na odczuwanie niedostatku, po-  
nieważ sztuka ta wymaga umysłu swobodnego, wolnego od niepokoju,  
serca zadowolonego; wobec tego, że potrzeba wywołuje myśli osobiste,  
człowiek, któremu zbywa na niezbędnem, nie potrafiłby być bezintere-

---

\*) Floquet. Code pratique des honoraires med.—1898. Paris.



sownym, jedynie zaś dobrobyt tylko pozwala człowiekowi być szlachetnym; wreszcie lekarze, mający za cel jedyny ulgę cierpiącej ludzkości, nie powinni nigdy być narażani na niewdzięczność ze strony chorych. *Quantum mutatus ab illo!*

We wszystkich miastach greckich były *ιατρεία*, bądź prywatne, jak np. Arystoteles, bądź też publiczne, urządzone i utrzymywane kosztem państwa. W zakładach tych sprawowali swe obowiązki lekarze, jedni na własny rachunek, inni, t. zw. *ιατροὶ δημοσίου βίου*, wynagradzani z podatku, nałożonego na wszystkich obywateli. Liczba tych lekarzy miejskich zależała od ilości mieszkańców. Niezależnie jednak od stałej pensji przyjmowali oni od zamożniejszych mieszkańców honorarya w naturze lub pieniądzech, najmniejsze zaś miasteczka miały po pięciu i więcej lekarzy o stałym wynagrodzeniu.

W Rzymie sztuka lekarska w właściwym tego słowa znaczeniu wprowadzoną została przez lekarzy greckich. Pierwszy lekarz, Archagatos ze Sparty, otrzymał od senatu tytuł obywatela rzymskiego i rząd swoim kosztem urządził mu pomieszczenie, będące jednocześnie gabinetem lekarskim, apteką i szpitalem. Mamy również wiadomości, że byli w Rzymie i lekarze wojskowi, otrzymujący od rządu utrzymanie, pensję i uwolnienie od wszelkich ciężarów obywatelskich. Cesarz Walentynian urządził we wszystkich miastach państwa rzymskiego pomoc lekarską, płatną przez rząd.

Widzimy więc, o ile pomoc lekarska dla biednych lepiej uorganizowaną była u starożytnych, aniżeli u nas. Widzimy, jaka ogromna różnica wypływa ztąd i dla leczącego i dla leczonego. Lekarz ma zapewniony byt, może więc swobodnie oddać się i leczeniu i nabywaniu nowych wiadomości, pacjent zaś *nie prosi* lekarza o pomoc, lecz żąda tej pomocy, gdyż ma po temu zupełne prawo—za niego płaci rząd, on zaś rządowi zwraca to pod postacią podatków. Tymczasem u nas pomoc lekarska dla biednych zbudowaną jest prawie całkowicie na gruncie filantropii. Mówię „prawie całkowicie“, chociaż ograniczenie to śmiało można usunąć, gdyż trudno rachować się z tą minimalną pomocą, jaką przy najlepszych chęciach są w stanie okazać lekarze miejscy. Nawal obowiązków, jaki ciąży na nich, jako na lekarzach sanitarnych (jak np. doglądanie targów miejskich, badanie dobroci produktów spożywczych i t. p.) i jako na lekarzach policyjnych (dokonywanie autopsyi, ekshumacyi, obdukcji i t. p.), pochłania ich całkowicie. Również trudno mówić o akuszerach miejskich, których ilość jest śmiesznie mała, a wynagrodzenie w zupełności odpowiada ilości.

Zobaczmy teraz, jak się przedstawia pomoc lekarska dla biednych w świetle cyfr.

Z góry jednak uprzedzić należy, że cyfry te będą bardzo nieściśle, o wiele niższe od rzeczywistych, gdyż będziemy brali na uwagę tylko



tych chorych, którzy zgłaszają się po poradę do specjalnych zakładów (ambulatoryów szpitalnych, lecznic bezpłatnych, poliklinik), nie wejść zaś wcale w rachubę wszyscy bezpłatni chorzy, leczący się u lekarzy w domu.

Cyfry wzięte są ze sprawozdań, złożonych w radzie miejskiej za r. 1898.

1) Szpital Dz. Jezus.

Choroby wewnętrzne . . . . .	7607 porad
„ chirurgiczne . . . . .	9210 „
„ gardła . . . . .	1754 „
„ uszu . . . . .	1091 „
„ kobiece . . . . .	989 „
„ dzieci . . . . .	1470 „
„ nerwowe . . . . .	501 „

22622 porad.

2) Szpital starozakonných:

Choroby wewnętrzne . . . . .	6387 porad
„ chirurgiczne . . . . .	4690 „
„ gardła i uszu . . . . .	1686 „
„ oczu . . . . .	16137 „
„ dzieci . . . . .	12198 „
„ skórne i weneryczne . . . . .	5830 „
„ kobiece . . . . .	2208 „

49136 porad

3) Szpital św. Ducha:

Choroby wewnętrzne . . . . .	2511 porad
„ chirurgiczne . . . . .	6755 „
„ gardła . . . . .	1693 „
„ uszu . . . . .	488 „
„ oczu . . . . .	8 „
„ kobiece . . . . .	1378 „

12833 porad

4) Szpital na Aleksandryi:

Choroby wewnętrzne . . . . .	10840 porad
„ chirurgiczne . . . . .	7164 „
„ zakaźne . . . . .	1107 „

19111 porad.

5) Szpital na Pradze:

Choroby wewnętrzne . . . . .	2902 porad
„ chirurgiczne . . . . .	6623 „
„ gardła . . . . .	65 „
„ uszu . . . . .	249 „
„ skórne i weneryczne . . . . .	78 „

9917 porad.



6) Szpital Św. Rocha:	
Choroby wewnętrzne . . . . .	2437 porad
„ chirurgiczne . . . . .	2898 „
„ gardła . . . . .	407 „
„ skórne i weneryczne . . . . .	262 „
„ kobiece . . . . .	80 „
	6084 porad.
7) Szpital Ewangelicki:	
Choroby wewnętrzne . . . . .	4527 porad
„ chirurgiczne . . . . .	4417 „
„ gardła . . . . .	5082 „
„ dzieci . . . . .	8145 „
„ skórne . . . . .	104 „
„ kobiece . . . . .	2729 „
	25004 porad.
8) Szpital Wolski:	
Choroby wewnętrzne . . . . .	7956 porad
„ chirurgiczne . . . . .	1321 „
„ gardła . . . . .	88 „
„ kobiece . . . . .	611 „
	9976 porad.
9) Szpital na Ślizkiej:	
Choroby wewnętrzne . . . . .	14193 porad
„ chirurgiczne . . . . .	3386 „
„ oczu . . . . .	3204 „
„ skórne . . . . .	1822 „
	22605 porad.
10) Szpital Św. Łazarza:	
Choroby skórne i weneryczne . . . . .	19151 porad.
11) Instytut Oftalmiczny . . . . . 67683 porad.	

Towarzystwo opieki nad nieuleczalnymi chorymi utrzymuje trzy lecznice. W pierwszej z nich (na ulicy Pivnej, obecnie przeniesionej na Kanonję) udzielono w roku ubiegłym 20946 porad, w drugiej, na Sewerynowie, 10719 porad, wreszcie w lecznicy na Wspólnej— 11038 porad.

W sprawozdaniu z działalności Towarzystwa Czerwonego Krzyża mamy cyfry, wskazujące jedynie ilość chorych. Ponieważ jednak praktyka poucza nas, że ilość porad odpowiada ilości chorych pomnożonej przynajmniej przez dwa, dane te zmienimy więc odpowiednio. Towarzystwo Czerwonego Krzyża przyjmuje w trzech lecznicach: w lecznicy Św. Elżbiety, w ambulatoryum na Pradze i w ambulatoryum na Woli, cyfry zaś, wyrażające ich działalność w r. 1898, przedstawiają się w sposób następujący:



choroby wewnętrzne . . . . .	40178	porad
„ chirurgiczne . . . . .	12732	„
„ dzieci . . . . .	11344	„
„ oczu . . . . .	12260	„
„ kobiece . . . . .	3842	„
„ zębów . . . . .	1090	„
„ gardła, skórne i wener. . . . .	2764	„
„ uszu . . . . .	1126	„
„ nerwowe . . . . .	424	„
	85760 porad.	

Zesumowawszy wszystkie te oddzielne pozycje, otrzymujemy po-  
 kaźną cyfrę 392,585, która to cyfra wyraża ilość porad ambulatoryj-  
 nych, otrzymanych w roku ubiegłym bezpłatnie. Cyfrę tę śmiało po-  
 dniesić możemy do 400,000, jeżeli weźmiemy na uwagę zakłady leczni-  
 cze prywatne, tu nie uwzględnione, jak naprz. polikliniki d-ra Gold-  
 flama, Higiera i t. p. Ilość ta porad bezpłatnych rzuca ciekawe światło  
 na stosunki lekarskie, szczególnie teraz, kiedy nadmierne osiedlanie  
 się lekarzy w Warszawie jest sprawą na dobre, znajdującą swój wyraz  
 na łamach pism lekarskich i nielekarskich. Przypuśćmy, że są lekarze  
 ambulatoryjni, otrzymujący za swoją pracę wynagrodzenie. Każdy  
 z nich pracować będzie przez trzy godziny dziennie, co należy uważać  
 za maximum, o ile badanie chorych ma być coś warte; każdy z nich  
 będzie miał 300 dni roboczych w roku (tyle albowiem zostaje po odli-  
 czeniu niedziel i ważniejszych świąt), czyli, że rocznie otrzymamy  
 $3 \times 300 = 900$  godzin. Ilość chorych, których można przyjąć przez  
 godzinę, zależy w znacznej mierze od specjalności; rzecz prosta, że  
 chirurg naprz. przyjmie ich znacznie mniej, niż dermatolog; jako liczbę  
 więc przeciętną można przyjąć 12 chorych. Wtedy jeden lekarz ambu-  
 latoryjny przez rok mógłby udzielić  $12 \times 900 = 10800$  porad, czyli, że  
 gdyby społeczeństwo wynagradzało lekarzy za ich pracę, około *czter-*  
*dziesiątu* lekarzy miałoby zapewniony jako tako byt. Przyczyną więc  
 obecnego przesilenia nie jest nienormalny stosunek pomiędzy podażą le-  
 karzy i popytem, lecz nieprawidłowość ta polega nie na ilości, lecz na  
 jakości.

Wszystkie te dane dotyczyły chorych dotkniętych lekkimi wzglę-  
 dnie cierpieniami, chorych ambulatoryjnych. Pozostaje jeszcze olbrzy-  
 mia, a żadnym sposobem nie dająca się obliczyć, ilość chorych obło-  
 żnych. I ci chorzy powinni mieć zapewnioną pomoc lekarską; zjawia się  
 jednak pytanie, jak tę pomoc uorganizować, żeby symbolem jej prze-  
 stała być chromająca i niedołączna staruszka — filantropia?

Zdaje mi się, że bardzo cennych wskazówek w kierunku roztry-  
 gnienia tego pytania daje nam stopniowa ewolucja stosunków spo-  
 łecznych, w zakresie, rzecz prosta, nas zajmującym. Do niedawna



jeszcze lekarz znajdował się zawsze wobec jednej osoby, wobec chorego pojedynczego. W ostatnich czasach coraz częściej ma on do czynienia z grupami, utworzonymi bądź przez prawodawstwo państwowe, bądź przez instytucje prywatne filantropijne, bądź przez wielkie przedsiębiorstwa handlowe lub przemysłowe. Tą drogą stworzyły się urzędy lekarzy miejskich, gminnych, fabrycznych, szkolnych, lekarzy dróg żelaznych, tramwajów, ochron i t. p. Dzięki temu zgrupowaniu, stowarzyszeni mają zapewnioną pomoc lekarską, choć wielu z nich, nie należąc do danej grupy, na nią pozwolić by sobie nie mogło. Pomoc ta bywa zwykle dostarczana niezmiernie małym kosztem, wszyscy wszakże znamy naprz. normę płacy lekarzy fabrycznych. I tu, zdaje się, powinno się znaleźć rozwiązanie sprawy całej. Chodzi o to, żeby społeczeństwo zrozumiało, że gromada — to wielki człowiek, chodzi o to, żeby te setki i tysiące luźnych rodzin zjednoczyły się w pewne grupy, mające na celu dostarczenie pomocy lekarskiej, co się drogą bardzo niewielkiej składki da uskutecznić. Mniejsza o zasadę, grupującą członków w dane stowarzyszenie, mniejsza o to, czy nicią łączącą będzie wspólny zawód, czy wprost, że tak powiem, warunki geograficzne (bo przy dzisiejszej rozległości Warszawy tak się wyrazić chyba można). Ponieważ pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy, początek dać powinny grupy już istniejące. Jako przykład weźmy cechy. Majstrowie, czeladnicy, terminatorzy i ich rodziny — wszak to w Warszawie są zastępy tak liczne, że bardzo poważnie rachować się z nimi należy. Dzięki bardzo niskiej składce, uczestnicy danej grupy mogliby nie tylko mieć swego lekarza, ale nawet najrozmaitszych swych specjalistów. To samo można powiedzieć o urzędnikach rozmaitych instytucji, kupcach, pracujących w danej branży i t. p. Inne wreszcie warstwy ludności, jak naprz. wyrobnicy, służący i t. p., mogłyby się jednoczyć na zasadzie zamieszkiwania pewnych dzielnic. Korzyści stąd wynikające byłyby wprost olbrzymie. Pomyślmy, ile czasu traci chory na oczy, podążający z krańców miasta na ul. Smolną, Sliżką lub Pokorną, (gdyż to są jedyne prawie szpitale, mające ambulatorya okulistyczne) ile czasu straci na oczekiwanie swej kolei, i obliczmy, jak znaczne sumy tą drogą się marnują, ile ekonomii narodowej poprawa tych stosunków zaoszczędzić by mogła?

Drugi, niemniej może ważny czynnik, stanowi ta okoliczność, że chory nie prosi lekarza o łaskę udzielenia mu swej pomocy, lecz wzywa go do siebie, mając zupełne prawo ku temu; lekarz zaś, ze swej strony, który dotychczas ościągwał z wybraniem się na którąś z rzędu wizytę bezpłatną, chętnie na wezwanie pospieszszy, wiedząc, że jest to jego obowiązkiem.

Że projekt ten nie jest mrzonką ani utopią, że jest on zupełnie możliwy do urzeczywistnienia, mamy dowody niezbite. Tego rodzaju



instytucje od całego szeregu lat istnieją i funkcjonują w biedniejszych warstwach tutejszej ludności izraelskiej. Są to t. zw. *chewry*, których członkowie jednoczą się najczęściej na zasadzie zamieszkiwania pewnych okolic. Wszyscy oni za pewną składkę mają pomoc lekarską i lecznicze środki bezpłatnie. Każde z tych stowarzyszeń (jest ich bowiem kilka, a może i kilkanaście) ma swoje właściwości w organizacji wewnętrznej, w sposobie placenia lekarzy, w rozmiarach udzielanej pomocy i t. p., każde z nich jednak jest dla nas żywą wskazówką, w jakim kierunku działać należy, żeby rozwiązać kwestję bardzo żywotną—kwestję racjonalnej pomocy lekarskiej dla biednych.

## Jubilansz 25-letniej działalności prof. dra Edwarda Korczyńskiego.

Szczęśliwym nazwać się może, komu jeszcze za życia w pełni sił po długoletniej a mozolnej pracy dozwolonym zostało oglądać obfite plony tej pracy i zyskać sobie zasłużone uznanie, nietylko u najbliższych, ale nawet u szerokich kół społeczeństwa. Do rzędu tych szczęśliwych zaliczyć siebie może *prof. dr. Edward Sas-Korczyński*, który właśnie w dniu 9 stycznia r. b. obchodził swe „srebrne gody” z katedrą chorób wewnętrznych w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Urodzony w Dobromilu w Galicyi w roku 1844, po ukończeniu gimnazjum w Krakowie uzyskał „*eximia cum laude et cum applausu*” na Wszechnicy Krakowskiej dyplom doktora medycyny w roku 1869 i osiadł w Dembicy celem wykonywania praktyki lekarskiej. Zawód lekarza, praktykującego na prowincyi, mógł jednakowoż dać i zapewnić młodemu doktorowi tylko byt materyalny, to też żądza wiedzy, chęć kształcenia się, pracy naukowej, ambicya wreszcie nie pozwoliły mu wśród pracy zawodowej w małym galicyjskiem miasteczku dłużej pozostać i w kilka miesięcy później widzimy go na stanowisku asystenta prof. Gilewskiego. Po dwóch latach mianowany zostaje prymaryuszem oddziału chorób wewnętrznych w szpitalu św. Łazarza w Krakowie, który to urząd z korzyścią dla nauki, dla chorych i oddanych mu do pomocy młodszych lekarzy sprawuje do 18-go grudnia 1874 roku.

Był to czas przełomowy dla medycyny wewnętrznej, dotąd opartej na anatomii patologicznej; powoli zaczęły wschodzić i rozwijać się nowe nauki, które w niedługim czasie miały zupełnie zmienić nietylko zapatrywanie ówczesne na pojęcie choroby i jej istotę, ale naukę medycyny wewnętrznej miały postawić na realnych, przyczynowych podstawach i popchnąć ją na tory nowe, nieznanne. Zaczątek ten nowego



ruchu nie mógł nie zwrócić na się uwagi umysłu tak bystrego i głębokiego, jakim się odznaczał dr. Korczyński. Śledzi on też go pilnie, a celem bliższego zapoznania się z nim wyjeżdża zagranicę.

Jakkolwiek młody, już na stanowisku prymariusza zyskuje sobie ogólne uznanie za umiejętne i gorliwe prowadzenie oddziału sobie powierzonego, za ulepszenia, jakie w nim wprowadził, za swą niestrudzoną pracę i zachęcanie do niej swych współpracowników. To też kiedy po śmierci prof. Gilewskiego opróżnioną została katedra medycyny wewnętrznej, wydział lekarski, powierzając mu jednomyślnie kierownictwo jednej z najważniejszych klinik, zaznaczył, jak dalece uznanie to dla młodego prymariusza podziela.

Nowy profesor rozpoczął wykłady w dniu 9 stycznia 1875 roku,



a więc 25 lat temu. Odtąd działalność prof. Korczyńskiego jest ściśle związaną z historią i rozwojem kliniki, w której na nowo odżyły świetne czasy Diętłowskie. Nauka, chorzy i uczniowie stały się dla 30-letniego profesora celem życia, któremu poświęca ciężki trud, swe serce i umysł z uszczerbkiem dla własnego zdrowia i swej najbliższej rodziny. Trudno mi tu opisywać tę gorliwą i niesłychaną energię i pracę około podniesienia stanowiska kliniki lekarskiej, dostarczania uczniom większego materiału naukowego, kształcenia uczniów i zachęcania młodych sił do pracy naukowej, około pod-

niesienia i rozwoju zdrojowisk krajowych i krajowego przemysłu lekarskiego; trudno opisywać szczegółowo jego starania i zabiegi o zwiększenie dotacji naukowej, powiększenie i rozwój pracowni bakteriologicznej i chemicznej, założenie biblioteki klinicznej i biblioteki dla chorych, o wybudowanie odpowiadającego celom nauki i kliniki nowego budynku klinicznego, gdyż to przekroczyłoby niepomierne ramy pisma i minęłoby się z celem niniejszego artykułu. Chcących dowiedzieć się szczegółów, odsyłam do Pamiętnika, wydanego na cześć Jubilata przez jego byłych uczniów — ale niech mi wolno będzie choćby w paru słowach wspomnieć o znaczeniu jego działalności dla nauki, a w szczególności dla nauki polskiej.



2

Nie jest wstydem przyznać się do tego, że w ogóle nauki i sztuki leczenia uczyliśmy się od „zachodu“. Nie wchodząc w przyczyny tego i nie szukając okoliczności usprawiedliwiających, przyznać musimy dalej, że nasza nauka nie mogła, niestety, do niedawna poszczycić się prawie żadnym w tym kierunku rodzinnym dorobkiem. Że stosunki te zmieniły się obecnie na lepsze, jest to w znacznej mierze zasługą prastarej szkoły Jagiellońskiej, a odnośnie do medycyny wewnętrznej—kliniki lekarskiej krakowskiej, w szczególności jej kierownika prof. Korczyńskiego, który wraz z uczniami i współpracownikami swymi prof. Antonim Gluzińskim i prof. Jaworskim *zdołał dla swej kliniki stanowisko osobnej szkoły*. Zbyt znane są nazwiska tych trzech uczonych, aby trzeba było przytaczać bliższe szczegóły o ich zapatrywaniach i wynikach, do jakich doprowadzili—wystarczy tylko wspomnieć, że odnoszą się one do przyrody chorób żołądka, a w szczególności nowej postaci chorobowej, mianowicie nieżytu kwaśnego żołądka, etyologii wrzodu żołądkowego, nieżytu śluzowego i jego związku z rakiem żołądka i wykazania nowych tworów mikroskopowych w treści żołądkowej.

Niespożyte zasługi, jakie prof. Korczyński położył przez te badania dla nauki polskiej, wystarczyłyby, aby imię jego umieścić w spisie dobrze zasłużonych, a przeszło 40 rozpraw i prac z zakresu medycyny wewnętrznej, umieszczonych w pismach polskich, francuzkich i niemieckich zapewniło dobre imię jemu w nauce polskiej i poważanie u obcych.

W czasie, kiedy obejmował katedrę, do podręczników, z których uczniowie czerpać mogli swą wiedzę, należały: podręcznik *Skody*, a nieco później *Guttmana*; oryginalnych polskich podręczników lekarskich nie było zupełnie. Prof. Korczyński zakłada wydawnictwo dzieł lekarskich polskich, wyszukuje autorów, zachęca ich do pisania, prace napisane ze względu na utrzymanie jednolitości słownictwa sam poprawia, nocami prowadząc korektę drukarską i w ten sposób przysparza kilkanaście dzieł oryginalnych, które bez jego poparcia i poparcia wydawnictwa byłyby dla literatury stracone; wydaje dalej zeszyty „Zbioru prac klinicznych“, zawierające prace dokonane w jego klinice, których liczba dochodzi dziś już do 30.

Nie więc dziwnego, że byli uczniowie profesora, korzystając z przypadającej właśnie 25-letniej rocznicy jego tak płodnej działalności, zapragnęli złożyć hołd swój ukochanemu, zacnemu i znakomitemu profesorowi, wielkiej miary uczonemu, człowiekowi dobrego serca. Uroczystość jubileuszowa zgromadziła w auli uniwersyteckiej nietylko grono osób najbliższych — ale zapelniała po brzegi olbrzymią salę przedstawicielami senatu akademickiego, wydziałów lekarskich obu krajowych uniwersytetów, licznych instytucji naukowych i pism lekarskich, przedstawicielami władz miejscowych, za-



kładów lekarsko-przemysłowych i tłumami jego byłych i obecnych uczniów. Z ust licznych a poważnych mówców, obok słów podziękowania i uznania za dotychczasową działalność, padały serdeczne życzenia na przyszłość. Do życzeń tych niech wolno będzie i mnie się przyłączyć i dodać, by czcigodny Jubilat w nowej, a z takim trudem przez siebie zdobytej klinice, mógł jeszcze przez długie, długie lata pracować tak, jak dotąd, z wielkim pożytkiem dla nauki i powierzonych jego pieczy uczniów.

*Dr. Z. Wąsowicz.*

## O C E N Y.

### O najnowszym słownictwie anatomicznem naszym

(Ciąg dalszy).

Pierwotnie zakończenie dzierżawcze na *ów, owa, owo*, niewątpliwie dodawane było tylko do rzeczowników r. m. oznaczających osoby, więc szczególnie do imion własnych, ale i do innych, odnoszących się do mężczyzn, a następnie dopiero przeszło na zwierzęta niektóre i rzeczowniki nieżywotne r. m. także nie wszystkie, ponieważ od bardzo znacznej ich liczby do dziś dnia tworzymy przymiotniki tego rodzaju w sposób inny, jak to widzieliśmy powyżej.

Ponieważ trzeba mi teraz powiedzieć słów kilka o teorii tworzenia tych przymiotników, więc oddaję znów głos prof. Małeckiemu, który tak mówi \*): „wszystkie nasze t. zw. przymiotniki dzierżawcze zakończone na *ów, owa owo*, zdają się bezpośrednio pochodzić z *genit.* sing. na *u* (§ 340; np. *synowa* z *synu-a*—żona syna; *wiekkowy* z *wieku-ai*, *Jakubów* z *Jakubu-3*, *Chrystowo* (z domyślnem *sioło* lub *mienie*) z *Chrystu-o*; i dla tego w nich to *u* rozwarło się na *ow*. (Bardzo wiele z tych pierwotników wprawdzie w osobnym użyciu swoim nie mają w *genit u*, jak np. *pan*, *Jakób* i t. p. mają *pana*, *Jakóba*, nie są to więc U□□ (t. j. *tematy*); lecz tutaj one na podobieństwo takich jak *dar*, *wiek*, *glóg*, *skop* i t. d. końcówkę tę przybierały jako „analogiczną“). — Na wniosek powyższy naprowadza mię: 1. ścisłe logiczne pokrewieństwo, zachodzące między znaczeniem tych dzierżaw-

\* ) Gram. histor. por. j. p. T. II. str. 26.—Znaki□ w ustępie powołanym znaczą *tematy*; po objaśnieniu wyrazu samego odesłać muszę do tegoż dzieła T. I str. 353.



czych przymiotników a genitiwem; wszakże i zaimki dzierżawcze *nasz*, *wasz* z genitiwów „*nas*, *was*“ powstały, a nie z □. 2. Takie jeszcze w XVIII wieku u nas używane lokucyje, jak np. *Żywot Pana Jezusowego*; *dom pana wójtorwy*; *stało się to już po ścięciu pana Samuelowem* i t. p. 3. Fakt owego rozwarcia *u* na *ow*, do któregooby nie było przyszło, gdyby tu *u* było zwykłą t e m a t o w ą końcówką, t. j. krótkiem *u*. 4. Świadcstwo nakoniec takich (dziś już zaginionych) wyrazów, jak *wiekuj*, *wołuj* (=wieczny, woli, wołowy), zachowanych w starośl. i starop. pomnikach, dowodzące, że i w tamtych formacyach ta końcówka *ow* z *u* się dopiero zrodziła. — Przymiotniki na *ski* z poprzedzającym *ow*, *ow* (*żydowski*, *prezesowski*, *królewski*) także tak pojmowane być muszą; są to albo pochodniki genitiwu sing. albo nominatiwu plur. wedle swego każdoczesnego znaczenia“.

Objaśnienie to, udzielone nam przez takiego znawcę języka, jest w sprawie naszej bardzo ważne, ponieważ poucza nas, że 1) przymiotniki te „w oczywisty sposób są urobione od męzkiego imienia“ \*), oraz 2) że nie urabiano ich od tematu ani też od mianownika l. p. tych rzeczowników, lecz od ich dopełniacza, kończącego się na *u*. Z tego wyciągnąć wolno prawidło, że gdy dziś chodzi nam o utworzenie nowych przymiotników, przynależność oznaczających, a zakończonych na *owy*, *owa*, *owe*, powinniśmy pamiętać o tem, iż tworzyć je należy wyłącznie tylko od rzeczowników r. m. i to takich, które w dopełniaczu l. p. mają końcówkę *u* \*\*, od wszelkich zaś innych rzeczowników r. m., jako też od rzeczowników r. ż. i n. przymiotników podobnie zakończonych stanowczo jest lepiej nie tworzyć nigdy. Rozumie się, że mowa tu tylko o przymiotnikach, które z konieczności dziś nam urabiać wypadnie, gdy brak nam już istniejących oddawna i przez ogół przyjętych, bo tych bezwarunkowo przerabiać nie godzi się dla miłości jakiegokolwiek zasady, słusznej nawet, a tembardziej nie wolno przeinaczać ich dla dowolnie wymyślonych prawideł.

Poznaliśmy więc już, dzięki Małeckiemu, pierwotną zasadę powstawania przymiotników dzierżawczych, na *ow* (*owy*) zakończonych. Zasada ta i dziś jeszcze mocy swej nie straciła bynajmniej, pomimo że pomalą, zapominając widocznie o niej niekiedy, zaczęto końcówkę *owy* przyczepiać i tam, gdzie właściwie nie należało tego robić, a czego dawniej nie czyniono nigdy. W czasach atoli późniejszych, ale jeszcze w wiekach XV i XVI, zapewne przez analogię błędną zaczęto łączyć,

\*) Małeckki dz. przyw. T. I, str. 391 w przypisku.

\*\*) O zakończeniu tem ob. dzieło przyw. T. I, str. 443, i A. A. Kryńskiego Gram. jżg. pols. str. 50 i nast.; por. też Rozprawy Akad. umiej. Wydział filol. Ser. II, T. X, str. 19 i A. Kaliny. Hist. języka pols. I. str. 40.



choć z początku wyjątkowo tylko, zakończenie *owy*, bądź w znaczeniu naprawdę dzierżawczem, bądź w innem, i z rzeczownikami r. ż. i n.\*).

Z latami namnożyło się przymiotników tego rodzaju coraz więcej, istniały one często obok poprawnych, od tego samego rzeczownika urobionych. Przekonać można się o tem, przeglądając Słowniki: Murmeliusa, Mączynskiego, Calepina, B. A. Fontana, P. Dasypodiusa\*\*), gdzie brak jeszcze mnóstwa przymiotników wszelkiego rodzaju, dziś używanych powszechnie, a nawet znanych już dawniej; dzierżawczych jest tam w ogóle stosunkowo bardzo mało, miewają zaś, jak inaczej być nie może, zakończenia różne, ale od rzeczowników r. ż. i n. po największej części nie kończą się jeszcze na *owy*; zakończenie to występuje najczęściej tylko w razach takich, gdzie przymiotnik ma oznaczać, iż coś jest zrobione z tego, co wyraża rzeczownik.

W najlepszym i najbogatszym ze słowników dawniejszych, Cnapiusa, spotykamy przymiotników takich już więcej nieco, a rzeczą uwagi godną jest, że dość dużo z nich urobiono od rzeczowników r. ż. pochodzenia obcego, jak np.: *balkowy*, *figowy*, *lampowy*, *prasowy*, *sumowy*, *windowy*. Widocznie, iż gdy chodziło o tworzenie przymiotników od wyrazów cudzoziemskich, mniej odczuwano wadliwość ich; to samo stosuje się może i do rzeczowników r. ż. i n. używanych przeważnie tylko w l. m., jak np. *skronie*, *biodra*, *trzewa*, *dymiona*, *kiszki* (intestina), *kostki* (malleoli), *lica* i t. p., od których przymiotniki: *skroniowy*, *biodrowy*, *trzewowy*, *dymionowy*, *kiszkowy*, *kostkowy*, *licowy* i t. p. już oddawna prawo obywatelstwa uzyskały sobie\*\*\*). Nadmienić też wypada, że więk szość przymiotników tego rodzaju, u Cnapiusa przynajmniej, nie posiada znaczenia czysto dzierżawczego, jako też, iż obok nich, w znaczeniu tem samym zupełnie stoją też inne, poprawnie urobione, jak np.: *garściowy* i *garściany* (manualis, co garścią objąć można), *gwiazdowy* i *gwiazdny* (sidereus, stellaris), *jabłonowy* i *jabłonny* (malinus, e. g. *lignum malinum*), *jarzynowy* i *jarzynny* (olitorium, ad legumina pertinens; olitorium forum = jarzynny rynek), *korowy*\*\*\*\*) i *korzany* (z kory), *lasiczko-*

\*) Przykładów nie przytaczam, znaleźć je można w słownikach, na które tu powołuję się niejednokrotnie, oraz w A. Kaliny Historii języka polskiego.

\*\*) Napisy powołanych Słowników już powyżej przytoczyłem.

\*\*\*) Zwracam też tu nawiasowo uwagę na niektóre rzeczowniki posiadające dziś rodzaj żeński, chociaż dawniej były rodzaju męskiego, jak np. *goleń*, *krtan*, *gardziel*, *zmarśl*, *usterk*, i t. d., więc przymiotniki dzierżawcze na *owy*, urobione od nich, muszą uchodzić za poprawne zupełnie.

\*\*\*\*) W wyd. Cnapiusa z r. 1643, które mam pod ręką, czytam *korkowy*, co wydaje mi się być omyłką druku, którą poprawiam na *korowy*. Zresztą i w wyd. z r. 1621, jako też w słownikach Troca i Lindego stoi tak samo *korkowy*, przym. *korowy* brak u nich; spotykamy się z nim dopiero w słown. wileńskim z r. 1861.



*wy* i *lasiczny* (mustellinus), *maciowoy* i *macieczny* (viteus, nie uterinus, gdyż *macica* u Cnapiusa nie posiada znaczeniu dzisiejszego = uterus), *oponowoy* i *oponny* (aulaeus, velaris), *prasowoy* i *praśny* (do prasy a. prasowania należący), *salatowoy* i *salaciany* (e genere lactucae vel lactucae similis), *saletrowoy* i *saletrzany* (nitrosus), *siarkowoy* (do wyrobu siarki należący) i *siarczany* (sulfureus), *siatkowoy*, *siatczany* i *siatczysty* (reticulatus), *siatny* (do sieci należący), *wykorowoy* i *wyczny* (viciarius), *zimny* (od *zimny*) i *zimowoy* (sed hoc durius sonat, hiemalis, hibernus). Od rzeczowników r. n. spotykamy tam stosunkowo więcej przymiotników dzierżawczych na *owoy*, chociaż im znów towarzyszą inne, zakończone poprawniej, np.: *biodrowoy* i *biedrzny*, *cialowoy* (z ciała złożony) i *cielesny* (do ciała należący), *podwórzowoy* i *podwornny*, *prosoowoy* i *prosianny* (bez zn. dzierż.), *sitowoy* (cribri) i *sitny* (cribrarius), *stadowoy* i *stadny* (gregarius), *srebowoy* (dla srebra przeznaczony, np. olstro srebrowe, też jako rzecz. używane = kredencierz) i *srebrny* (1 do srebra należący i 2 ze srebra uczyniony), *udowoy* (do uda należny; Cnapius tworzy przym. ten zupełnie poprawnie od *ud* r. m., Siennik zaś *udny* od *udo* r. n., równie dobrze), *źródłowoy* i *źródlny* (fontanus, ze źródła), nakoniec *złotny* i *złotowoy* (do złota należący).

Przywiodłem aż tyle przykładów, wziętych z jednego słownika, aby zwrócić uwagę na to, jak pomatu końcówka *owoy* wciskała się w niewłaściwe sobie miejsce, zanim za czasów naszych nadużywać jej zaczęto aż nadto. U Troca \*) spotykamy ją znacznie częściej niż u Cnapiusa, a u Lindego staje się już bardzo pospolitą, chociaż przyznać trzeba, że cytaty na jej poparcie przywiedzione, w przeważającej liczbie pochodzą z dzieł pisarzy późniejszych i po większej części wcale nie wzorowych. Przynajmniej o ile chodzi o zajmujące nas tu mianownictwo anatomiczne, to z pewnością za wzór poprawności języka uchodzić nie mogą w żaden sposób dzieła Kircheima, Krupińskiego, Weichardta i kilku innych, z których Linde czerpał, ani też pisma Ryszkowskiego, Kambona, Kosteckiego i innych, pominiętych przez niego, ni też nakoniec pisarze późniejsi, tacy jak Girtler, Brandt, przyrodnik Jarocki, których jeszcze znać nie mógł.

Gdym już tu potrafił o Słownik Lindego, niech mi wolno będzie dorzucić słówko o nim i o słownikach w ogóle. Jeżeli zwrócić uwagę na to, że Linde w pomnikowym dziele swem pomieścił wyraz niejeden stanowczo zły, pochodzący z książki autora nie umiejącego pisać poprawnie po polsku, kaleczącego język przez tworzenie wyrazów nie urobionych zgodnie z duchem języka, to nie postąpiłem tak

\*) Nowy dykcyonarz to jest Mownik polsko-niemiecko-francuski. Lipsk. 1764.



w celu uczynienia zarzutu mężowi tak znakomicie zasłużonemu, gdyż byłby on wielce niesłuszny. Słownikarz, nie będący prawodawcą języka, jeno zbieraczem gromadzącym zasoby jego, umieszcza w dziele swem wyrazy wzięte z mowy żywej, bądź spamiętane, bądź spisane przez siebie samego, albo też przyjęte od poprzedników, lub nakoniec mozolnie zebrane z zabytków dostępnego mu piśmiennictwa. Otóż ludzie mówią i piszą bardzo różnie, często nadzwyczaj wadliwie, mniejsza już o to, czy z niedbalstwa, czy z nieuctwa i braku zrozumienia języka; zdarza się nawet, że czasami i z pod pióra skądinąd wzorowego pisarza wymknie się mimowolnie jaki dziwołąg, albo, co już jest objawem zwykleszym, że spłodzony zostaje przez uczonego, nie baczącego na właściwości języka własnego, lub nie znającego ich dostatecznie, a chcącego koniecznie, najczęściej bez potrzeby rzeczywistej, wyrazić coś o ile możliwości tak samo zupełnie, jak to czynią języki obce, innemi rządzące się prawami; a właśnie to nierozważne naśladownictwo jest może źródłem najobfitszym najbrzydszego zanieczyszczenia języka. Pisarze tak postępujący nie zdają sobie widocznie, albo nie umieją może zdać sobie, sprawy z tego, że wyrządzają krzywdę wielką bardzo językowi ojczystemu, bo nie dość, że piszą sami źle, lecz nadto przykładem swym zachęcają innych do wstępowania w swe ślady. Słownikarz jednak nie ma prawa pomijania wyrazów wadliwych, jego obowiązkiem jest zbierać i spisywać wszystko, złe i dobre, co napotkał gdziekolwiek w mowie narodu danego; nie jego to wina, jeżeli obok złota szczerego znajdzie się żużel wszelaka. Z tego też powodu nie każdy wyraz, w słowniku umieszczony, za dobry uchodzić może; żeby go ocenić należycie mamy dwie drogi: na pierwszą z nich wiedzie nas gramatyka, a raczej część jej, etymologią zwana; jest to droga bezwarunkowo najpewniejsza, — wolno wszakże wyjątkowo zboczyć z niej i wejść na drugą, mianowicie wtedy, gdy przekonamy się, że zwyczaj ogólny jej się trzyma, a wskazówek pewnych pod względem tym udzielają nam pisarze za wzorowych powszechnie uchodzący, chociaż im także nieomylności przyznać nie można.

Linde postąpił słusznie zupełnie, zapisując skrzętnie wszystko, co tylko udało mu się zebrać, a że na usprawiedliwienie pomieszczenia w Słowniku wyrazu danego, prawie bez wyjątku, przywiódł zdania całe, w których użyty był przez pisarzy rozmaitych, więc dał nam przez to możliwość ocenienia wartości każdego podług tych, co się nim posługiwali, ocenę zaś gramatyczną musiał zostawić komu innemu, bo ta do niego, jako słownikarza, nie należała, tak samo też nie jego rzeczą było sądzić, czy przytoczony przez niego pisarz służyć może w każdym razie za wzór, lub nie.

Ale wróćmy do naszych przymiotników zakończonych na *στω*. Gdy weźmiemy do rąk słownik wileński, lub wychodzący obecnie war-



szawski \*), obaczymy, że od czasu Lindęgo przybyło znów niemało przymiotników rodzaju tego, w znacznej bardzo części urobionych na zasadzie analogii mylnej, w mowie zaś potocznej i w pismach przyrodników i lekarzów naszych, jako też w dziennikarstwie, zarówno u nas, jak w Galicyi i Poznańskiem, takie nowotwory językowe wyrastają codziennie, jak grzyby po deszczu. I nie dość na tem, że tworzone bywa mnóstwo nowych przymiotników takich, wbrew duchowi języka i przeciw logice ogólnej, nie godzącej się przecie na to, żeby od rzeczownika każdego urabiać przymiotniki dzierżawcze, czy tak, czy owak zakończone, ale, czy to przez niedbalstwo, czy też przez nieuctwo i najsurowszego napiętnowania godne nieuszanowanie języka ojczystego, kowane bywają niepotrzebnie nadto przymiotniki na *ow*y nawet wtedy, gdy od wieków już posiadamy inne, poprawne zupełnie. Przeciwno takiej swawoli, lekkomyślnie popełnianej, każdy prawdziwy miłośnik języka naszego, póki czas jeszcze, walczyć powinien, boć przecie nie godzi się cenności starodawnych poświęcać dla nowożytniej tandety, wciskającej się do języka nieznacznie, lub, co gorsza, zachwalanej nieraz szumnie.

Że potrzeby języka dzisiejszego są inne, niż były w wieku złotym literatury naszej, lub nawet przed 50 laty jeszcze, któż by wątpił o tem? Rodzące się pojęcia nowe, wymagają też nieraz i wyrazów nowych dla wypowiedzenia tych pojęć; ale w razach takich, jeżeli zasób dotychczasowy mowy rzeczywiście nie wystarcza, co nieraz zdaje się tylko pisarzom niedouczoneym i nieudolnym, nie wolno bynajmniej tworzyć wyrazów byle jak, lecz trzeba urabiać je umiejętnie i z etymologią zgodnie, wtedy bowiem z bogaca się język naprawdę, postępując zaś przeciwnie, sieje się w nim chwasty najszpetniejsze.

Żeby skończyć z przymiotnikami na *ow*y, *ow*a, *ow*e, o których tu już tyle powiedziano, przytoczę jeszcze jeden ustęp z gramatyki Małeckiego (T. II, str. 79), pomimo że na pozór przeciwko zdaniu mojemu przemawia. Brzmi on, jak następuje:

„Ostatnim, roztrząsnąć się tu mającym punktem, niech będzie następujące pytanie: Czy każda etymologiczna formacja, np. czy każdy bez wyjątku rzeczownik, nadaje się na materiał, z któregooby można w sposób powyżej określony przymiotniki wywodzić? — Na to pytanie dać można odpowiedź, i to przeczącą odpowiedź, tylko ze stanowiska pewnej ściśle w sobie określonej, np. zygmuntońskiej, albo naszej obecnej i t. p. epoki. W obrębie takich epok są niezawodnie

\* ) 1. Słownik języka polskiego... do podręcznego użytku wypracowany przez Aleksandra Zdanowicza, Michała Bohusza Szyszkę i t. d. wyd. staraniem i kosztem M. Orgelbranda. Wilno, 1861, 2 tomy. 2. Słownik języka polskiego ułożony pod redakcją Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwieckiego. Warszawa—od r. 1898 wyszło zeszytów 6.



prawie zawsze takie w języku pozycye, z których się już nic dalszego zrodzić nie może i nie powinno.—Po upływie kilku wieków atoli, nieraz i krótszego przeciągu czasu, wali się przecie bardzo często stopniami na ziemię mur graniczny tego niepodobieństwa i potomność nieogłędna, czasem i pod naciskiem rzeczywistej potrzeby, wykrzesuje sobie bez żadnego wyrzutu sumienia coraz nowe wyrazy i z takiego już materiału, nad którego w tym kierunku płodnością przodkowie tej generacyi, a nawet i współcześni jej Śniadeccy albo Skoblowie załamywałyby ręce, jako nad oburzającym językowym bezprawiem. (Nie mówię tego, żebym chwalił, zalecał to nowatorstwo i za dobre je początywał, lecz tylko z urzędu mego stwierdzam i tutaj to, co widzę, że się dzieje w życiu języka). Takimi np. rzeczownikami, od których formowaniu przymiotników na *ów, owa, owo* uważano w zygmunto-wskich jeszcze czasach, a nawet i następnych wiekach za wierutne niepodobieństwo, były wszystkie zakończone na *oć, ość, stwo, cie, nie*, np. *dobroć, przykrość, państwo, kucie, kochanie*. Obecnie jednak „okolicznościowa poezya“, „przeszłościowa muzyka“ (Wagnera), „narodowościowe stosunki“, „jakościowy“, „ilościowy“ (zamiast wstrętnego purystom *kwalitatywny* i *kwantytatywny* czy też *quantitatiwny*) — albo „państwoowy (przeciwstawiony krajowemu) skarb“, „państwoowa ustawa“, „mocarstwoowe stanowisko Austrii“ i t. p. stały się już wyrażeniami prawie utartemi; dają się słyszeć w mowie parlamentarnej i gazetach coraz częściej, które przeto trudnoby było już na liście proskrypcyjnej zamieszczać z nadzieją skutku, zwłaszcza że i ze strony nawet teoryi nie wiem, co by się dało na ich potępienie powiedzieć, prócz chyba tego jednego, że to są drobkie wicze w słowniku naszym, o których możliwości nawet początek bieżącego stulecia jeszcze nie wiedział. — Od rzeczowników słownych na *nie* i *cie* nie tworzymy jednak jeszcze przymiotników: ze wszech miar słusznie zatem powstały niedawno temu poważne głosy (w krak. Akad. Um.) przeciw samozwańczemu „życiowy“ (*vitalis*), urobionemu od *życie*, a to na wzór ros. *žitjejski*, którego to wyrażenia metryka i w rosyjskiem bardzo wątpię, żeby była w porządku... Czy jednak za jakie lat 100, najprzód w pismach przyrodników, potem w dziennikarstwie, a wreszcie i wszędzie indziej nie zjawią się w całej masie takie wyrazy? za to ręczyć nie można. Brak ich koniecznej potrzeby, to nie daje jeszcze rękojmi. Wszakże jeszcze J. Kochan. obywał się tak doskonale bez tych wszystkich, dziś już tak zagęszczonych znajdów na *lny* (nieprzejednalny, słyszalny, nierozzerwalny, nieuleczalny, nieprzemakalny); mówił prześlicznie, a tak dosadnie „nieprzejednane ucho, pożar nieugaszony, nieprzebyte morze, niezgoniony wicher, nieuchroniona ręka, świat niezmierny, nieujeżdżone wały morskie i t. d. Dzisiejszy niejeden skrybent miruby nie miał, dopóki by nie poprzemieniał tego wszystkiego na *nie-*



*zmiernalny, nieugaszalny* — idziemy bowiem aż zbyt często nawet w do-  
brem po za właściwe granice i, chcąc mieć koniecznie na każdy strzę-  
pek odrębności logicznej także i w mowie odrębność, nie umiemy już  
pospolicie inaczej jej uwydatnić, jak zaraz przez wyrazik skąd bądź  
wzięty, byle osobny. Taki to tylko niewczesny zapał mnożenia niepo-  
trzebnych wyrażań dodał np. do *gramatyczności* jeszcze i „*gramatykal-  
ność*“, a gramatykę chce mieć koniecznie pisaną przez *gramatykarza*.  
Niedługo zjawi się i *fizykarz, botanikarz...*“

Ustęp ten cały sprawia wrażenie cokolwiek niejasne, ponieważ brak  
w nim jednolitości, Raz profesor lwowski przemawia w nim tak, jakby  
tylko słownikarzowi przemawiać wypadało, drugi raz znów gramatyk  
bierze w nim górę, a wtedy gani — słusznie bez wątpienia — nowotwory  
jedne, gdy na chwilę przedtem dla innych okazał pobłażliwość zbyt  
wielką, biorąc je nawet poniekąd w obronę, utrzymuje bowiem, że nie  
wie, coby ze strony teorii powiedzieć się dało na potępienie ich, cho-  
ciaż teoria gramatyczna jest im właśnie przeciwna, a dowodów na to  
nie trudnoby było znaleźć we własnej gramatyce jego, jak to widzimy  
choćby z wcześniej już tu powołanych ustępów o tworzeniu przymiot-  
ników na *owy* zakończonych. Więc ze strony teorii obronić ich nie  
można jakoś, ze strony logiki także nie, konieczność zaś też nie prze-  
mawia za nimi bynajmniej, ponieważ łatwo się bez nich obyć można.  
Po polsku należy mówić; poezya *przygodna*, muzyka *przyszłości*, spory  
*o narodowość*, albo spory *narodowości dotyczące*, *stosunki między narodo-  
dowościami*, *skarby państwa*, *ustawa w państwie obowiązująca*, *stanowisko*  
*Austrii jako mocarstwa*; zdaje mi się nawet, że autor „*Wieńca grocho-  
wego*“, tak świetnie po polsku napisanego, sam by też z pewnością nie  
wyraził się inaczej. Żeby kto mógł się zapomnieć aż do tego stopnia,  
że ośmieliliby się zalecać używanie przymiotników takich, jak: *głowowy*,  
*okowy*, *rękowy*, *uchowy* i t. p. widocznie szanownemu profesorowi lwow-  
skiemu przez myśl nawet nie przeszło, bo prawdopodobnie byłby się  
przy tej sposobności wypowiedział przeciwko nim z większą jeszcze  
stanowczością, niż przeciw przymiotnikom na *owy*, tworzonym od rze-  
czowników na *nie* i *cie*.

Co się tyczy przymiotników *ilościowy* i *jakościowy*, pochodzących  
z mianownictwa chemicznego, to, aczkolwiek zaprzeczyć trudno, iż są  
dziećmi etymologii z nieprawego łoża, jednak prawa obywatelstwa  
w języku odmówić im nie można, jako przyjętym już przez ogół mó-  
wiących, a ten rozstrzyga, mniejsza o to, czy słusznie, czy niesłusznie,  
ale zawsze prawomocnie, więc sporu z nim wieść niepodobna. Wymie-  
nionych dwu przymiotników (tłómaczących dosłownie łac. *quantitativus*  
i *qualitativus*, Rzymianom nieznanym) u Lindego nie znajdujemy  
jeszcze; słownik wileński od rzeczownika *ilość* również przymiotnika nie  
podaje, ma jednak od *jakości* przym. *jakościowy*, urobiony widocznie na



podobieństwo przymiotników takich, jak: *litościwy*, *miłościwy*, *właściwy* i t. p.

Gdy już zaczęliśmy mówić o mianownictwie chemicznem, to poświęćmy mu jeszcze kilka wierszy, ponieważ K r y s i ń s k i powołuje się na nie, jako na wzór (str. XV). Dla mianownictwa tego, mającego do spełnienia zadania wyjątkowe, zmuszeni jesteśmy ustępstwa pewne uczynić. R a z dla tego, że w niem spotykamy mnóstwo rzeczowników mowie naszej ogólnej obcych zupełnie, od bardzo niedawna dopiero potworzonych, albo nawet z postępem chemii wciąż powstających jeszcze, z nimi zatem wolno nam obchodzić się swobodniej, niżeli z innymi, od czasów niepamiętnych w języku naszym istniejącymi. P o w t ó r e, że konieczność, nie dająca się w żaden sposób usunąć albo obejść, wymaga tego, żeby w chemii zakończenia pewne, zarówno rzeczowników, jak przymiotników, dla uniknięcia nieporozumień, zawsze i stale miały znaczenie umówione, nieodmienne, co znów w mianownictwach innych bynajmniej potrzebnem nie jest. P o t r z e c i e, że ani nasz, ani żaden inny język europejski, bez pogwałcenia większego lub mniejszego zasad swych, nie byłby w stanie wyrazić wszystkiego tego, co w chemii wyrazić trzeba, tam więc, że tak rzekę, siła wyższa zmusza nas do znoszenia wielu wyrazów przeciwnych duchowi i prawidłom języka powszechnie obowiązującym; ale nie godzi się przeto z pewnością zło takie nieuniknione przenosić do innych dziedzin, gdzie nie za jego koniecznością nie przemawia; za drogo to bowiem okupywać błahostki, posiadające wartość zaledwie pozorną, za cenę krzywdy ciężkiej, wyrządzonej czystości języka rodzinnego.

Autor nasz, o ile nam wiadomo, zanim w wieku już dojrzałym poświęcił się sztuce lekarskiej, przez czas dłuższy zajmował się chemią; upodobawszy sobie więc widocznie język jej, a nie troszcząc się o to, co zasady języka naszego, których może nie poznał dostatecznie, powiedzą na to, zapragnął też czemś podobnem uszczęśliwić i anatomię w imię jakiejś ścisłości niby koniecznej, bez której wszakże dotąd nie źle jej było, ponieważ nie potrzebowała jej zgoła, przynajmniej nie w tej postaci. Anatomia nie była nigdy nauką ścisłą, nie jest nią obecnie i nie będzie nią nigdy, dla tej prostej przyczyny, że nią być nie może, będąc opartą jedynie na tem, co widzi okiem i co czuje palcami; nie łączy i nie dzieli ciał różnorodnych, jak chemia, ale badając tylko skład ustrojów gotowych, dla nazwania właściwego tego, co widzi, zgoła nie potrzebuje mianownictwa na dowolnych, umówionych, prawidłach opartego, a niezbędnych rzeczywiście dla chemii. Dla anatomii starczy trzymanie się zasad i prawideł język ogólny obowiązujących, trzymając się ich, może każdą część ciała nazwać właściwie i z zasadami mowy naszej zgodnie, zbyteczne więc jest wynajdywanie dla niej jakichkolwiek mianownictw sztucznych, a przypisywana im przez



ich wynalazców ścisłość jest tylko po prostu bałamuctwem wierutnem, nie wątpię, że w wierze najlepszej popelnionem, ale niemniej niebezpiecznym dla wszystkich tych, którzy, aczkolwiek mówią językiem ojczystym, nie są, jak należałoby, dostatecznie z nim obeznani, a takich, niestety, jest bardzo wielu. Zaczem też jest obowiązkiem krytyki przeciw zamachom tego rodzaju występować z surowością największą, zanim jeszcze niebacznie zasiane chwasty zdolają rozrość się zbyt bujnie.

W imię więc, nie upodobań osobistych, nie prawideł dowolnie ustanowionych, ale opierając się na wymaganiach słusznych języka naszego, wyższych ponad wszelkie względy inne, w jego imię żądać mamy powinność i prawo, żeby mianownictwa anatomicznego naszego nie kalaly przymiotniki takie, jak: *głowowy, rękowy, płucowy, ramieniowy, wątrobowy, uchoowy* i t. p., ponieważ język nasz ich nie uznaje za swe dzieci prawe. Miejsca ich zajmować powinny od dawna istniejące: *głowi* albo *głowony* (jeżeli wogóle przymiotnik ten jest konieczny), *ręczny, płuczny, ramienny, wątrobnny, uszny* i t. p., których nie brak w słownikach i książkach, należy więc, nie tworząc dziwolągów, poszukać ich tam, a gdybyśmy ich nie znaleźli, to w razie potrzeby rzeczywistej, ale wtedy tylko, wolno nam urabiać nowe, lecz rozumie się, że podług etymologii przez gramatykę wskazanej, bacząc przytem na wyrazy analogiczne od dawna w języku używane. Ponieważ zastosowanie się do wymagania tego, ze wszech miar słusznego, może dla wielu być przytrudniejsze, więc radzimy im odwoływać się zawsze w razach takich do ludzi z zawodu swego zajmujących się badaniem języka, którzy powstrzymają ich od popelnienia szkaradzieństwa obrażającego zasady języka.

Za płonną zgoła poczytać muszę obawę autora naszego, że z braku ujednostajnienia końcówki przymiotników, przynależność oznaczających, mogłoby powstać kiedykolwiek jakiegobądź nieporozumienie lub zamieszanie. Śmiało możemy używać w mianownictwie anatomicznem obok przymiotników: *mózgowy, wzrokowy, węchowy, brzuchowy, trzewowy* i t. p. i takich, jak: *brzuszny, oczny, nożny, piętny, żylny* i t. p., ponieważ są poprawne, w języku ogólnym istniejące, nikt więc, rozumiejący po polsku, nie może mieć nigdy wątpliwości, co oznaczają.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

Dr. med. *Józef Peszke*.

---

W sprawach, dotyczących prenumeraty, ekspedycji i w ogóle administracji pisma, proszę odnosić się pod adresem: *ulica Wilcza Nr- 12, W-na Dr. Stanisława Popławska*.

Redaktor i Wydawca *Zygmunt Kramsztyk, Nowo-Senatorska 8.*

Довѣ, Цена — Варшава, 14 Февраля 1900 г.

Друк. Вл. Лазарского, Даниловичовска 6.



Prenumerata w Warszawie rocznie . . . . .	rb. 7 —
kwartalnie . . . . .	„ 1 75
z przes. pocztową . . . . .	„ 9 —
kwartalnie . . . . .	„ 2 25

Adres Redakcyi: Warszawa, Złota 26.

# GŁOS

Tygodnik Naukowy, Społeczny i Literacki.

Program pisma obejmuje: 1) Zasadnicze roztrząsanie kwestyi życiowych i społecznych, zagadnień naukowych, etycznych i wychowawczych. 2) Przeglądy, referaty i kroniki, dające ile możności pełny obraz współczesnego ruchu naukowego w dziedzinie, filozofii, nauk przyrodniczych etyki, psychologii, nauk społecznych i ekonomicznych, medycyny, pedagogiki, techniki, odkryć i wynalazków. 3) Krytykę i bibliografię wydawnictw naukowych i literackich; przeglądy prasy krajowej i zagranicznej. 4) Powieści, poezye i studia dotyczące nowych przejawów w dziedzinie literatury i sztuki. 5) Sprawozdania, korespondencye i wiadomości bieżące w zakresie życia współczesnego, teatru, sztuki i polityki.

Prenumeratorzy otrzymują bezpłatnie Dzieło naukowe.



## SZKICE KRYTYCZNE Z ZAKRESU MEDYCYNY

ZYGMUNTA KRAMSZTYKA.

Warszawa, r. 1899, str. 364,

w Księgarni *E. Wendego i S-ki*.

Cena rb. 2.



## POGLĄD NA ŚWIAT.

MIESIĘCZNIK,

poświęcony sprawom wykształcenia, czytelnictwa i samouctwa  
pod kierunkiem literackim *Wł. M. Kozłowskiego*.

Kraków, Szlak 35.

Wychodzi 15 każdego miesiąca.

Cena z przesłaniem rocznie 3 ruble, półrocznie rub. 1 kop. 50  
kwartalnie 75 kop.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie.